

Zbylut Grzywacz. Było nie było. After All

Zbylut Grzywacz. Było nie było. After All - wernisaż w MCK, Kraków, 5 listopada 2024

Zbylut miał wyjątkowy dar życia, w tym umiejętność przyjaźni /.../ Dedykuję tę wystawę właśnie przyjaźni - Zbyluta i Adama Zagajewskiego, malarza i poety, których poza wieloletnią przyjaźnią łączyły bliskie poglądy na sztukę. (Joanna Boniecka)

Kraków, dochodzi godzina 18 we wtorek, 5 listopada 2024 roku, i nie jest to taki sobie zwyczajny wtorek, jak każdy wtórny dzień tygodnia, wręcz przeciwnie, jest to dzień ze wszech miar niezwykły: cały świat patrzy na Amerykę, podczas gdy Amerykanie głoszą na nowego prezydenta, a wybór jest między starym prezydentem, a niespodziewaną kandydatką. I nie dość, że kobietą, to kobietą z rodziców o korzeniach afro-indyjskich. No, tego jeszcze nie było! I nie będzie! Jak się o poranku za pół doby okaże, ale na razie zbliża się 18, a ja zbliżam się do Międzynarodowego Centrum Kultury przy Rynku 25, róg Wiślniej, w którego pamiętających średniowiecze odrestaurowanych piwnicach dziś wielkie wydarzenie: wernisaż jubileuszowej wystawy Zbyluta Grzywacza w roku 85. rocznicy urodzin i 20. śmierci artysty.

Artysty: malarza, grafika i rysownika, pisarza, autora esejów i spisanych już pośmiertnie przez licznych wdzięcznych uczniów wykładów, także dzieł artysty-pedagoga, lub w dawnym znaczeniu nauczyciela-mistrza, bo i nauczanie traktował jak wyzwanie artystyczne, oryginalne, niepowtarzalne i kreatorskie, jedyne takie, jak on sam, w myśl zasady, którą głosił: "chcesz być kimś, stań się sobą".

Już przy garderobie kłębi się tłumek, a gdy, schodząc i schodząc w głąb do samych trzewi budynku, widzę, że zebrał się tłum gęsty i w oczach gęstniejący, wiem, że wystawa zatytułowana "Było nie było" będzie niewątpliwym sukcesem. A to przecież w Krakowie - było nie było - zwykły dzień tygodnia, ani pierwszy, ani środkowy, ani piąty, ani nawet święty. Na dobitek listopadowy. A jednak publiczność nie zawiodła: są "wszyscy", "tout le monde" jakby powiedzieli paryżanie, bo i atmosfera nader światowa, très mondaine... Paryż, Berlin, Nowy Jork by się nie powstydzili. Jeśli w Krakowie jest 6 p.m., to w Nowym Jorku akurat wybija południe, nowojorczyki musi tłoczą się przy urnach, tego dnia cały kraj aż po ostatni stan, Hawaje, po drugiej stronie świata odda głosy, od naszej, polskiej północy zaczną się pierwsze transmisje z pierwszymi podliczeniami, zapowiada się długa i nerwowa noc.

Na wernisażu obecni są koledzy Zbyluta, mógłby więc żyć jak oni. Jak komentowałyby aktualne wydarzenia? W Polsce? W świecie? On, który uważał, że sztuka to nie tyle piękno, ile prawda? Że "Kultura nie jest ozdobą, ale istotą życia społecznego, a artysta nie jest pięknoduchem pozostającym na utrzymaniu społeczeństwa, lecz tego społeczeństwa pełnoprawnym i niezastąpionym członkiem"? Że zadaniem artysty, czy to malarza, czy poety, czy twórcy innej dziedziny jest samopoznanie i wolność ukazywania / wyrażania wprost tego, co jest prawdą, a nie propagandą?

Na artyście jako osobie w tej szczególnej służbie publicznej, jaką jest twórczość, spoczywa szczególna odpowiedzialność, a ta łączy się ściśle z etyką, właśnie tego nauczał asystent, a wreszcie profesor krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych i nauczyciel w założonej przez siebie Szkole Rysunku i Malarstwa "Este" przy ul. Floriańskiej, obok solidnego warsztatu sztuki jak najwierniejszego rysowania "z modelu", mając za wzorzec dzieła Albrechta Dürera, najwybitniejszego artysty niemieckiego renesansu.

"To, co wydawać by się mogło jedynie kwestią wyboru konwencji artystycznej, jest w gruncie rzeczy równoznaczne z przyjęciem określonej postawy i światopoglądu. Że estetyka i etyka nie tylko w kwestiach rzetelności warsztatowej się spotykają", nauczał.

Po dotarciu szeregiem schodów i schodków skracających pod różnymi kątami w dół i w dół do piwnicznych pomieszczeń przekształconych w sale wystawowe, gościa wystawy wita ogromne zdjęcie artysty z 1977 roku, przedstawiające mężczyznę w sile wieku (Zbylut ma tu 37/38 lat), pod pachą dzierżącego ogromny obraz przedstawiający naturalnej wielkości męski korpus i przycięte nad kostkami nogi kroczonego przechodnia w garniturze z teczką pod pachą. Prawe ramię Zbyluta przyciskające obraz i jego głowa uzupełniają niejako brakujące części postaci z malunku, a malunek uzupełnia niewidoczną część ciała Zbyluta, przesłoniętą obrazem, jego prawa ręka podtrzymuje teczkę, dokładnie powtarzając namalowany gest, lewa ręka mężczyzny wykonuje ruch zgodny z kierunkiem stawianego kroku, zaś lewa dłoń Zbyluta opiera się o ramę obrazu, sylwetka mężczyzny zlewa się niemal doskonale z żywą górą, ramionami i głową Zbyluta, tym samym widz staje przed jednym mężczyzną o czterech dłoniach.

Mężczyzna patrzy spod okularów badawczo wprost w oczy widza i ni to zachęca, ni wyzywa ledwie wyczuwalnym cieniem uśmiechu spod wąsa. Włosy długie, à la hippie, broda, bródka raczej, no i ten wąs znad uśmiechu. A więc taki był Zbylut, gdy miał przed sobą jeszcze prawie 30 lat życia.

A był tak aktywny w tak wielu dziedzinach, rysowaniu, malowaniu, pisaniu, nauczaniu, gromadzeniu kamieni, jakby faktycznie miał nie dwie, a cztery ręce, jakby pracował w czwórnasób. Mimo to dopadały go wyrzuty sumienia: "...mam poczucie nikłej przydatności tego, co robię dla innych. Gnębi mnie coś w rodzaju poczucia winy, bo choć tego nie chcę, to jednak w malowanie w jakiś sposób uciekam", wyznawał w roku 1983...

20 lat później zostawił światu prawie 650 obrazów, grafik i rysunków, imponującą kolekcję minerałów i nie mniej imponującą ilość tekstów, zapisków, szkiców... Na wystawie w MCK można zobaczyć 71 z jego dzieł. Na nierównych wapiennych i ceglanych murach dawnej, bardzo dawnej piwnicy, przełamanych nowoczesnymi gładkimi szarymi ściankami, prezentują się surowo, dostojnie i ponadczasowo.

I obrazy olejne, i jednokolorowe grafiki łączy styl chropowaty, naprzemiennie kontur ostry i rozmyty, barwy, nawet te najbardziej jaskrawe, czerwień po szkarłat, błękit po szafir, zieleń po szmaragd, żółć po paloną ochrę, przełamywane są domieszkami koloru ziemi, brudno-brunatnej, lub koloru krwi krzepnącej, starej. Zbylut maluje zresztą nie tylko żywe istoty, ludzi, zwierzęta w chroniącej życie skórze, ale także to, co pod skórą, mięso, wnętrzności, kości, czaszki, to, co składa się na żywość, nim umarło, i choć już nie żyje, pocięte, rozharatane, zabite, nadal będące świadectwem życia, przynajmniej jakiś czas jeszcze, póki nie włączy się po nierozpoznawalność w materię. W jego obrazach nie ma czułości, łagodności, dobroduszości, jest obnażanie tego, co jest ciemną stroną życia, konflikt, deformacja, okropieństwo, makabra, rozkład, śmierć.

Nawet akty młodych kobiet ("Stojąca II", 1994, "Dwie" 2000...), z zasady pięknych, są skażone bezbronnością nagości, a nie jej urodą. Pocałunek, przedstawiony w cyklu fragmentarycznych ujęć ("Pocałunek I -V", 2001) jest brutalny, agresywny, drapieżny, odpychający.

Debaty w "wolnej już Polsce" wokół prawa kobiet do aborcji na życzenie i w końcu kompromis zawarty między politykami a klerykami w roku 1993, przez postępową część społeczeństwa nazwany zgniłym kompromisem, bo odbierający kobietom ich prawo do własnego ciała, do wolności wyboru, artysta ilustruje cyklami obrazów z lat 90. zatytułowanymi "Dziewięć obrazów" i "Przyjdź precz": odziani w bogate stroje w intensywnie groźnych kolorach dostojnicy Kościoła z głowami przyozdobionymi mitrami (rybimi otwartymi w stronę nieba martwymi pyskami), biskupi, kardynałowie, papież, ważni, władczy, bezwzględni, w konfrontacji z nagimi ciałami młodych dziewcząt, bladymi, chudymi, kruchymi, niewinnymi, nieświadomymi...

Każdy z oglądających wszystkie te obrazy ma swój zestaw referencji, coś wie, czegoś nie wie, znał Zbyluta osobiście, nie znał, czytał jego pisma, nie czytał... Każdy projektuje swój światopogląd na przedstawiony temat, jest poruszony, obojętny, oburzony... Zestawię to z własnymi słowami Zbyluta Grzywacza o sobie, spisany w roku 2003 i dołączonymi do ponad 500-stronicowej książki "O rysowaniu. Widzieć Wiedzieć Wyrażać" wydanej w 2018 roku. W półtorastronicowym tekście zatytułowanym "Mój życiorys" artysta pół żartem pół serio opisuje swoje życie m.in. tak:

Urodzony 4 czerwca 1939 roku w Krakowie. /.../ Żony: 1) /.../ Stanisława /.../ 2) /.../ Teresa /.../ 3) /.../ Maria Katarzyna /.../ W szkole niezły - natura niewolnika. Przewodnik pracy w czasach stalinowskich. /.../ Mało zdolny, ale sprytny. /.../ W czasie studiów kombinował zamiast malować. /.../ robił /.../ chałtury, na przykład pierwszomajowe. Dużo pił. I palił. /.../ W 1966 załapał się do grupy WPROST i brał udział we wszystkich jej wystawach. /.../ W 1992 dostał tytuł profesora. /.../ Z czasem skapcianał. /.../ Maluje zrywami, często interesuje się czymś całkiem innym. Kobietami, kamieniami. /.../ Ostatnio zainteresował się muszlami. A wcześniej zakochał się w Joasi (Boniecka, ur. 1959, historyk sztuki, byczy temperament, zmysłowa /.../) /.../ Nie wierzy w Boga, wierzy w naturę. Niestety, choć stary, to głupi. I nie wiedzieć czemu, stale w nim wiele nienawiści. Na szczęście miłości też.

Na szczęście. Bo to na Joasię spadł żal po utraconej na wieczność miłości, ale też spadek po ukochanym. Od 20 lat to właśnie Joasia dba o to, żeby Zbyluta pamiętano. Jego pierwszą monumentalną, retrospektywną wystawę w głównym gmachu Muzeum Narodowego Krakowa w 2009 roku współorganizowała jeszcze jako kuratorka zatrudniona w MNK. Wystawa w MCK to 18. wystawa od jego zbyt wczesnej śmierci. Na okoliczność wystawy powstał piękny, tak, piękny katalog, dwujęzyczny, ze wstępem samej Joasi, oraz tekstami Anny Baranowej i Patrycji Cembrzyńskiej, projekt graficzny Marka Pawłowskiego.

Nawet Zbylut musiałby przyznać, że piękny, choć też i z przerażającą okładką, inaczej nie byłby to Zbylut, jaki był: intensywny, potrzęsający, wstrząsający. Obraz nosi tytuł "Przekaznik I", z cyklu marzec /68/ 1969: Na czerwonym czerwieniu jaką tylko czerwień może być w tle, człowiek w garniturze w masce przeciwigazowej, przed nim mrowie mikrofonów, rura od maski niknie między nimi, człowiek ten sączy przez mikrofony toksyczną propagandę. Człowiek ten ma jedynie wąty zarys mózgu, polityk przed trybunami.

Wewnątrz katalogu obok komentarzy wybranych z pism samego artysty, wypowiadają się inni krytycy sztuki, Tadeusz Nyczek, Andrzej Kostołowski i Andrzej Oseka. O okładkowym "mówcy w masce" Tadeusz Nyczek pisze: "/.../ obrazy z

cyklu "Mówcy" czy "Przekaźniki" to czyste znaki-metafory. "Mówcy" to nawet nie ludzie, ale maski, dosłownie maski przeciwgazowe. Maski stoi za mównicą i przemawia do niewidocznego ludu; porasta ją las mikrofonów. To upiorne przebranie pełni funkcję podwójnego znaku: kojarzy się z gazem łzawiącym /.../ i impregnowaniem na wszystko, co przychodzi z zewnątrz".

Joanna Boniecka we wstępie do katalogu poprzedzonym wierszem zmarłego 21 marca 2021 roku Adama Zagajewskiego, pt. "Szanowni dyktatorzy", prywatnie przyjaciela Zbyluta Grzywacza, któremu dedykowana jest wystawa, pisze:

W pewnym sensie to także mój prywatny jubileusz i moja osobista, kolejna odpowiedź na śmierć Zbyluta. Bowiem artysta non omnis moriar... Strata, która od dwudziestu lat jest ze mną, paradoksalnie daje mi siłę dzięki uczuciu wdzięczności Losowi, który pozwolił się nam spotkać, a już zwłaszcza dzięki radości dzielenia się mądrością i głębią braterskiego, miłosnego spojrzenia na drugiego człowieka, która przenika jego sztukę. Rodzimy się i umieramy bez naszej woli. Ale ten czas pomiędzy...

Angielski tytuł wystawy różni się od polskiego nieprzetłumaczalnego dosłownie idiomu i brzmi "After All" - "Mimo wszystko" / "Po wszystkim" / "Koniec końców"... Po wernisażu wracam wieczornym Krakowem z koleżanką Basią, która też szła do domu z wystawy... Rozmawiamy... W Stanach trwa głosowanie. Kto wygra? Kto przegra? Wiem, że o północy wstanę, żeby oglądać transmisje z kolejnych miast, miejsc, stanów w miarę jak będzie się nad Ameryką przesuwawało słońce. Około 3 nad ranem wyniki głosowania są coraz bardziej niepokojące, dwie godziny później nie ma już wątpliwości. Ani nadziei: Donald Trump zdobywa coraz więcej głosów elektorskich, wskaźnik Kamali Harris nie nadąża. O 8.45 czasu krakowskiego Trump ma 277 głosów, Harris 224. Wygrywa Trump, przegrywa Ameryka. Jarząca czerwień z okładki katalogu wystawy, choć w zupełnie innym czasie i kontekście, znów straszy.

*

Adam Zagajewski: Szanowni dyktatorzy

nie patrzcie wilkiem na człowieka (Tadeusz Różewicz)

Szanowni dyktatorzy, ciekawe, co się wam

tak bardzo podoba w naszym mieście,

że wcale nie chcecie odejść.

Czy lubicie filmy o seryjnych mordercach?

Kakao? Wolicie psy czy koty? Węże czy owady?

To prawda, wasza limuzyna jest najczarniejsza

i milkną rozmowy, gdy przechodzicie,

to jest oczywiste, nikt się nie ośmieli w to wątpić,
nikt wam tego nie odbierze.
Ale też nikt was nie widzi o czwartej nad ranem.
A także - czy sny są wam posłuszne?
Czy lustra są waszymi przyjaciółmi?
Czy w ogóle macie przyjaciół?
Jak lśnią wasze sumienia zachodzie słońca?
I jeszcze jedno - czy pamiętacie, że Mozart
spożywał posiłki przy stole dla służących?

*

Adam Zagajewski: Dear Dictators

don't look daggers at a person (Tadeusz Różewicz)

Dear dictators, I wonder, what
in our world do you like so much
that you refuse to go.
Perhaps films about serial killers?
Cocoa? Do you prefer dogs or cats? Snakes or insects?
True, your limousine is blackest
and conversations halt when you walk by,
it's clear, no one dares to doubt it,
no one will take it away.
Then again no one sees you at four a.m.
Moreover, do you dreams obey?
Are the mirrors your friends?
Do you have any friends?
How do your consciences gleam at sunset?
And one more thing - do you remember, Mozart
ate his meals at servant's tables?

(tr. Clare Cavanagh, pierwodruk w katalogu wystawy)